



CIERPIENIA
DEXTERA



JEFF LINDSAY

Na początku

TO pamiętało poczucie zdziwienia, następnie upadek i nic więcej. Później tylko czekało.

TO bardzo długo czekało mu to trudności, ponieważ nie istniała pamięć i nic jeszcze nie krzychało. Z tego powodu TO nie wiedziało, że czeka. W tamtej chwili TO nie zdawało sobie sprawy, że czymś jest. Po prostu trwało, bez możliwości odmierzenia czasu, nawet nie wiedząc, że istnieje coś takiego jak czas.

TO czekało i obserwowało. Z początku nie było wiele do oglądania: ogień, skały, woda, a potem trochę małych, pełzających istot, które po pewnym czasie zaczęły się zmieniać i powiększać. Zajmowały się prawie wyłącznie zjadaniem się nawzajem i rozmnażaniem. Lecz nie istniało nic, z czym można by je porównać, więc na tym etapie to wystarczało.

Mijał czas. TO obserwowało duże i małe istoty, które zabijały się i pożerały w bezcelowy sposób. Przyglądanie się im nie dawało prawdziwej radości – nie było nic innego do roboty, a pojawiało się ich coraz więcej. Lecz TO nie

wydawało się zdolne do niczego oprócz patrzenia. I dlatego zaczęło się zastanawiać: *Dlaczego patrzę?*

TO nie dostrzegało żadnego sensu w tym, co się dzieje, i nie mogło nic zrobić, a jednak trwało i patrzyło. Bardzo długo się nad tym zastanawiało, lecz nie doszło do żadnych wniosków. Wciąż nie dawało się niczego przemyśleć do końca; nie pojawiło się jeszcze pojęcie celu. Istniało tylko *TO* i istoty.

Było ich mnóstwo, z każdą chwilą coraz więcej; zajmowały się zabijaniem, jedzeniem i kopulowaniem. Lecz istniało tylko jedno *TO*, które niczego takiego nie robiło i zaczęło się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje. Czemu jest inne? *Dlaczego tak się od wszystkiego różni? Czym jest, jeśli naprawdę czymś jest, i czy też powinno coś robić?*

Znów minęło dużo czasu. Niezliczone zmieniające się, pelzające istoty powoli stawały się coraz większe i lepsze w zabijaniu się nawzajem. Ciekawe z początku, lecz jedynie z powodu subtelnych różnic. Pelzały, skakały i skradały się, by zabijać – jedno nawet latało w powietrzu, by zabijać. Bardzo interesujące – tylko co z tego?

TO zaczęło odczuwać niepokój. O co w tym wszystkim chodzi? Czy powinno być częścią tego, co obserwuje? Jeżeli nie, dlaczego istnieje i patrzy?

TO postanowiło odkryć przyczynę, która sprawiła, że istnieje, cokolwiek to oznacza. Dlatego teraz, gdy obserwowało duże i małe istoty, analizowało, czym się od nich różni. Wszystkie musiały jeść i pić, inaczej umierały. Nawet jeśli jadły i piły, w końcu i tak umierały. *TO* nie umierało. Po prostu trwało bez końca. Nie potrzebowało jeść ani pić. Lecz stopniowo *TO* uświadomiło sobie, że czegoś

potrzebuje – tylko czego? Zdawało sobie sprawę, że gdzieś narasta potrzeba, lecz nie potrafiło powiedzieć, o co chodzi; miało tylko poczucie, że czegoś brakuje.

Mijały eony lusek i wykluwania się z jaj, lecz nie pojawiła się odpowiedź. Zabijać i jeść, zabijać i jeść. Jaki to ma sens? Dlaczego muszę na to wszystko patrzeć, skoro nie mogę nic zrobić? TO zaczęło odczuwać lekką gorycz z powodu tej sytuacji.

A potem, któregoś dnia, nagle pojawiła się zupełnie nowa myśl: Skąd się wziąłem?

TO domyśliło się dawno temu, że jaja, z których wykluwają się istoty, powstają wskutek kopulacji. Lecz TO nie wykluło się z jaja. Nic ze sobą nie kopulowało, by stworzyć TO. Kiedy TO uzyskało świadomość, nie istniało nic, co mogłoby kopulować. TO pojawiło się jako pierwsze i z pozoru istniało zawsze, choć miało niejasne, niepokojące wspomnienie upadku. Wszystko inne wykluło się z jaja lub urodziło, TO nie. Po tej myśli mur oddzielający TO od istot stał się wyższy, ogromny, niewiarygodnie wielki, odseparował je kompletnie, na wieczność. TO było samotne, na zawsze zupełnie samo, co wywoływało ból. TO chciało stanowić część czegoś. Było tylko jedno TO – czy nie powinien istnieć sposób, by TO również kopulowało i tworzyło swoje kopie?

Ta myśl zaczęła się TEMU wydawać nieskończenie ważna: NIECH MNIE BĘDZIE WIĘCEJ. Wszystkiego było więcej, TO również chciało więcej siebie.

Cierpiało, obserwując bezrozumne istoty, które prowadziły szalone, burzliwe życie. Pojawiła się złość, zmieniła się w gniew, który później przekształcił się we wściekłość na głupie, bezsensowne twory i ich niekończącą się, pustą,

wstrętą egzystencję. Wściekłość się powiększała, rozsadzała serce, aż któregoś dnia TO nie mogło już wytrzymać. Bez zastanowienia uniosło się i skoczyło na jedną z jaszczurek, pragnąc ją w jakiś sposób zmiażdżyć. I stał się cud!

TO znalazło się wewnątrz jaszczurki!

Widziało to samo co jaszczurka; czuło to samo!

Na długo zupełnie zapomniało o wściekłości.

Jaszczurka nie spostrzegła, że ma pasażera. Dalej zajmowała się zabijaniem i kopulowaniem, a TO podróżowało wraz z nią. Kiedy zabiła mniejszą od siebie, okazało się to bardzo ciekawe. W ramach eksperymentu TO przeniosło się do ciała mniejszej jaszczurki. Przebywanie w tej, która zabijała, było zabawniejsze, lecz nie prowadziło do naprawdę sensownych wniosków. Przebywanie w tej, która umierała, okazało się wyjątkowo interesujące i prowadziło do pewnych wniosków, lecz nie były one zbyt przyjemne.

Przez pewien czas TO cieszyło się nowymi doświadczeniami. Chociaż odczuwało proste emocje istot, nigdy nie były one bardziej skomplikowane niż oszołomienie. Istoty ciągle nie zauważały TEGO, nie wiedziały, że... Cóż, po prostu niczego nie wiedziały. Były takie ograniczone – a jednak żyły. Żyły i nie zdawały sobie z tego sprawy, nie pojmowały, jak to wykorzystać. Wydawało się to niesprawiedliwe. Niebawem TO znowu się znudziło i ogarnął je gniew.

Aż w końcu, pewnego dnia, zaczęły się pojawiać małpy. Na początku wyglądały nędznie. Były małe, tchórzliwe, hałaśliwe. Lecz TO dostrzegło jedną drobną różnicę: miały ręce, które pozwalały robić zdumiewające rzeczy. TO widziało, jak stają się świadome swoich rąk i zaczynają się nimi

posługiwać. Wykorzystywały je do różnych, zupełnie nowych celów: masturbacji, okaleczania się nawzajem, odbierania pożywienia słabszym przedstawicielom swojego gatunku.

TO obserwowało coraz uważniej, zafascynowane. Widziało, jak jedne małpy zabijają inne, a potem uciekają, by się ukryć. Widziało, jak się okradają, lecz tylko wtedy, gdy nikt nie patrzy. Widziało, jak robią sobie straszliwe rzeczy, a potem udają, że nic się nie stało. Kiedy TO patrzyło na małpy, po raz pierwszy wydarzyło się coś cudownego: TO się roześmiało.

W ten sposób narodziła się myśl, która po chwili przybrała klarowną formę.

TO pomyślało z rozbawieniem: Mogę nad tym pracować.

1

Cóż to za księżyc? Nie jasny, lśniący księżyc przeszywającego szczęścia, bynajmniej. Ach, płynie, skomli i skwierczy jak tania świeczka, imitacja tego, czym powinien być, lecz nie ma w nim pasji. Temu księżycowi brak siły, by unieść mięsożerców do lotu po radosnym nocnym niebie ku ekstazie krojenia i cięcia. Zamiast tego zerka nieśmiało przez czyściutkie okno, oświetlając zachwyconą, zadowoloną kobietę, która przysiadła na skraju kanapy i mówi o kwiatkach, kanapkach i Paryżu.

Paryżu?

Tak, z poważną, okrągłą jak księżyc twarzą szczebioce egzaltowanym, donośnym głosem właśnie o Paryżu. Znowu.

Więc cóż to za księżyc, zdyszany, uśmiechnięty, obsyty koronką szyderstwa? Uderza słabo w okno, lecz nie może się dostać do środka, przebić słodkiej, mdlącej paplaniny. I jakież Mroczny Mściciel mógłby siedzieć w fotelu po drugiej stronie pokoju, gapić się mętym wzrokiem i udawać, że słucha, jak to w tej chwili robi biedny Otumaniony Dexter?

Ach, to nie księżyc, tylko miesiąc miodowy – rozwija w ciemnym salonie sztandar małżeństwa, wzywa wszystkich do szeregu i sygnalizuje trąbką początek szarzy. Do kościoła, drodzy przyjaciele, bo Drapieżny Donżuan Dexter ma się żenić! Zbliży się rydwan czystego szczęścia ciągnięty przez śliczną Ritę, która, jak się okazało, przez całe życie marzyła o podróży do Paryża.

Małżeństwo, miesiąc miodowy w Paryżu... Czy te słowa pasują do zdania, w którym jest jakakolwiek wzmianka o Widmowym Rzeźniku?

Czy naprawdę możemy sobie wyobrazić nagle spowaźniałego lub głupekowato uśmiechniętego nożownika przed ołtarzem prawdziwego kościoła, we fraku i muszce w stylu Freda Astaire'a, wsuwającego obrączkę na biały palec na oczach rozpromienionych gości, którzy pociągają nosami? Czy możemy sobie wyobrazić Demona Dextera w szortach z madrasu, gapiącego się na wieżę Eiffla i chłepącego café au lait przy Łuku Triumfalnym? Czy możemy go sobie wyobrazić, jak trzyma Ritę za rękę i spaceruje, upojony, wzdłuż Sekwany albo gapi się bezmyślnie na każdą z krzykliwych ozdób wystawionych w Luwrze?

Naturalnie mógłbym odbyć pielgrzymkę do Rue Morgue, mekki seryjnych morderców.

Lecz zachowajmy przez chwilę trochę powagi. Dexter w Paryżu?! Przede wszystkim czy Amerykanów w ogóle wpuszczają jeszcze do Francji?! I na koniec: Dexter w Paryżu?! By spędzić miesiąc miodowy?! Jak ktoś o mrocznym hobby Dextera mógłby w ogóle brać pod uwagę coś tak banalnego? Jak ktoś, kto uważa seks za coś równie interesującego jak prowadzenie księgowości, może się żenić?

Krótko mówiąc, czy Dexter naprawdę zamierza to zrobić?! Czy, w imię wszystkiego, co złe, mroczne i śmiertelne, może to być prawda?!

Wszystkie te pytania wydają się bardzo trafne i rozsądne. I, szczerze mówiąc, trochę trudno na nie odpowiedzieć, nawet mnie samemu. Lecz oto znoszę chińską torturę wody, słuchając Rity mówiącej o swoich oczekiwaniach, i zastanawiam się, czy Dexter jest w stanie to wszystko znieść.

Cóż, Dexter jest w stanie to wszystko znieść, bo musi, częściowo po to, by w dalszym ciągu skutecznie się maskować, a nawet robić to jeszcze lepiej – aby nikt na świecie się nie zorientował, kim naprawdę jest. Trudno uznać Dextera za osobę, z którą chciałoby się siedzieć przy stole w chwili, gdy gaśnie światło – zwłaszcza gdy wokół leżą noże. I oczywiście potrzeba mnóstwo wyteżonej pracy, by nikt się nie dowiedział, że Dexterem kieruje Mroczny Pasażer, którego cichy, jedwabisty szept rozlega się w ciemności z tylnego siedzenia. Od czasu do czasu Pasażer zajmuje miejsce z przodu, ujmuje kierownicę i wiezie nas do Parku Niewyobrażalnych Rozrywek. Owce nie powinny się dowiedzieć, że Dexter jest wilkiem.

Dlatego Pasażer i ja bardzo ciężko pracujemy nad swoim kamuflażem. Przez kilka ostatnich lat byliśmy Dexterem Umawiającym Się Na Randki, pokazując światu optymistyczne, a przede wszystkim normalne oblicze. Rita odgrywała w tym uroczym przedstawieniu rolę narzeczonej i pod wieloma względami okazało się to idealnym układem, ponieważ nie interesowała się seksem, podobnie jak ja, a jednak zależało jej na towarzystwie Mężczyzny, Który Ją Rozumie. A Dexter naprawdę rozumie. Nie ludzi, romanse,

miłość i inne bzdury. Nie, Dexter zna morderczo uśmiechniętą granicę – wie, jak wybrać wśród mieszkańców Miami najgodniejszego kandydata do ostatecznej, mrocznej elekcji do skromnego Panteonu Dextera. Kandydatów jest bardzo wielu.

Nie daje to stuprocentowej gwarancji, że Dexter to uroczy towarzysz; jego urok powstał w wyniku wieloletnich ćwiczeń i jest sztucznym produktem eksperymentów laboratoryjnych. Niestety, biedna Rita – ofiara nieszczęśliwego pierwszego małżeństwa, w którym dochodziło do aktów przemocy – nie potrafi odróżnić margaryny od masła.

A zatem wszystko w porządku. Dexter i Rita przez dwa lata uczestniczyli w życiu towarzyskim Miami, zauważani i podziwiani przez wszystkich. Później, w wyniku serii wydarzeń, które oświecony obserwator mógłby przyjąć ze sceptycyzmem, Dexter i Rita przypadkiem się zaręczyli. Im dłużej się głowiłem, jak uniknąć czekającego mnie absurdałnego losu, tym lepiej zdawałem sobie sprawę, iż to logiczny etap w ewolucji mojego kamuflażu. Żonaty Dexter – Dexter z dwójką gotowych dzieci! – z pewnością zupełnie nie pasuje do tego, czym naprawdę jestem. Zmiana o charakterze jakościowym, ogromny krok do przodu, przejście na zupełnie nowy poziom.

Jest także dwoje dzieci.

Może się wydawać dziwne, że osoba zainteresowana wiwisekcją istot ludzkich może lubić dzieci Rity, ale to prawda. Lubię Cody'ego i Astor. Nie rozczulam się na myśl o wyrwanym zębie, gdyż wymagałoby to umiejętności odczuwania emocji; jestem szczęśliwy, że nie cierpię na tę przypadłość. Ogólnie rzecz biorąc, dzieci wydają mi się

znacznie bardziej interesujące niż dorośli i szczególną irytację wywołują we mnie ludzie, którzy je krzywdzą. Od czasu do czasu specjalnie ich wyszukuję. A gdy wytropię takiego drapieźnika i jestem pewien, że rzeczywiście zrobił to, co zrobił, sprawiam, że nigdy więcej nie robi już niczego – jestem przy tym bardzo szczęśliwy i nie gryzie mnie sumienie.

Dlatego to, że Rita miała dwoje dzieci z katastrofального pierwszego małżeństwa, wcale mnie nie zniechęcało, zwłaszcza że potrzebowały specjalnej pomocy rodzicielskiej Dextera, by ich nieopierzeni Mroczni Pasażerowie grzecznie siedzieli przypięci pasami na Mrocznych Tylnych Siedzeniach, nim nauczą się samodzielnie prowadzić auta. Ponieważ, zapewne wskutek szkód psychicznych, a nawet fizycznych, jakie odnieśli z rąk swojego ojca narkomana, Cody i Astor przeszli na Mroczną Stronę, podobnie jak ja. A teraz mieli się stać moimi dziećmi, zarówno w sensie prawnym, jak i duchowym. Prawie zaczynałem czuć, że życie ma mimo wszystko jakiś głębszy sens.

Istniały zatem bardzo dobre powody, by Dexter to wszystko przecierpiał – ale Paryż?! Nie wiem, skąd się bierze opinia, że Paryż jest romantyczny. Czy ktokolwiek, nie licząc Francuzów i Lawrence’a Welka, może uważać, że akordeon ma w sobie coś seksownego? I czy nie stało się oczywiste, że nikt tam nie lubi Amerykanów? A poza tym Francuzi upierają się, by mówić po francusku, prawda?

Może Ricie namieszał w głowie jakiś stary film opowiadający o dziarskiej, odważnej blondynce i romantycznym brunecie, którzy spacerują wokół wieży Eiffła i śmieją się z wrogich spojrzeń lubieżnego mężczyzny noszącego beret i palącego gauloise’y, gdy w tle rozlega się

modernistyczna muzyka? A może słuchała płyty Jacques'a Brela i doszła do wniosku, że przemawia do jej duszy? Kto to może wiedzieć? Tak czy inaczej, w konwencjonalnym umyśle Rity utkwiło przeświadczenie, że Paryż to stolica wyrafinowanego romantyzmu; nie dałoby się jej tego wyperswadować bez poważnej operacji chirurgicznej.

Nieustannie debatowaliśmy o zaletach dań z kurcząt i ryb, wina i barku samoobsługowego, a teraz pojawiły się serie pełnych dygresji monologów o Paryżu. Wydawało się, że Rita cierpi na monomanię. Na pewno stać nas na tygodniowy pobyt, będziemy mogli zwiedzić ogród Tuileries i Luwr – może obejrzelibyśmy sztukę Moliera w Comédie-Française? Podziwiałem głębię jej studiów. Mnie Paryż przestał interesować dawno temu, gdy się dowiedziałem, że znajduje się we Francji.

Na szczęście nie musiałem szukać grzecznego sposobu informowania jej o tym, gdyż do pokoju cicho wślizgnęły się Cody i Astor. Nie biegają z wrzaskiem po domu jak większość dzieci w wieku około siedmiu, dziesięciu lat. Jak już wspomniałem, ich drogi biologiczny ojciec wyrządził im wielką krzywdę; jedna z konsekwencji polega na tym, że poruszają się bardzo cicho – przenikają do pomieszczeń drogą osmozy. Najpierw ich nie ma, a po chwili stoją cicho w pobliżu i czekają, by ich zauważyć.

– Chcemy się pobawić w chowanego – rzekła Astor. Odzywała się w imieniu swoim i brata; Cody wypowiadała najwyżej kilka słów dziennie. Nie był głupi, bynajmniej. Po prostu zwykle wolał milczeć. W tej chwili popatrzył na mnie i kiwnął głową.

– Och – westchnęła Rita, przerywając swoje rozważania

na temat kraju Rousseau, Kandyda i Jerry'ego Lewisa. – Cóż, w takim razie może...

– Chcemy się pobawić z Dexterem w chowanego – dodała Astor i Cody energicznie pokiwał głową.

Rita zmarszczyła brwi.

– Szkoda, że nigdy nie rozmawialiśmy o tym wcześniej, ale czy nie uważasz, że Cody i Astor... Czy nie powinni zacząć się zwracać do ciebie jakoś inaczej niż po prostu „Dexter”? To się wydaje takie...

– Może *mon papere*? – spytałem. – Albo *Monsieur le Comte*?

– A może nie? – mruknęła Astor.

– Po prostu myślę... – rzekła Rita.

– „Dexter” jest w porządku – stwierdziłem. – Przyzwyczaili się tak do mnie mówić.

– To brzmi tak, jakby nie okazywali ci szacunku – zauważyła Rita.

Popatrzyłem na Astor.

– Pokaż swojej mamie, że potrafisz powiedzieć „Dexter” z szacunkiem – poprosiłem.

– Prooooooooooszę! – odrzekła, przewracając oczyma.

Uśmiechnąłem się do Rity.

– Widzisz? Ma dziesięć lat. Nie potrafi niczego powiedzieć z szacunkiem.

– Cóż, tak, ale... – zaczęła Rita.

– Wszystko jest w porządku, dzieci zachowują się grzecznie – powiedziałem. – Ale Paryż...

– Chodźmy na dwór – odezwał się Cody. Popatrzyłem nań ze zdziwieniem. Cztery sylaby, czyli długa oracja jak na niego.

– Dobrze – odezwała się Rita. – Skoro rzeczywiście myślisz...

– Prawie nigdy nie myślę – przerwałem. – To zaburza funkcjonowanie mózgu.

– To nie ma sensu – wtrąciła Astor.

– Nie musi mieć sensu. To prawda – odparłem.

Cody pokręcił głową.

– Pobawmy się w chowanego – powiedział. Nie chcąc mu przerywać, w milczeniu wyszedłem za nim do ogrodu.

2

Cudowne plany Rity nabierały kształtu, lecz oczywiście nie żyłem w świecie, gdzie istniały tylko radość i truskawki. Miałem również prawdziwą pracę. Ponieważ Dexter jest z natury wyjątkowo sumienny, chętnie się nią zająłem. Przez ostatnie dwa tygodnie bez pośpiechu kończyłem nowe malowidło, wymagające ostatnich, nielicznych pociągnięć pędzla. Młody dżentelmen, który stał się dla mnie źródłem inspiracji, odziedziczył mnóstwo pieniędzy i wszystko wskazywało na to, że wydaje je na okropne, mordercze eskapady; zacząłem żałować, że również nie jestem bogaty. Nazywał się Alexander Macauley, choć przedstawiał się jako „Zander”. Wydawało mi się to nieco afektowane, lecz może o to chodziło. W końcu był w stu procentach kimś w rodzaju eleganckiego hipisa czerpiącego dochody z funduszy powierniczych, człowiekiem, który nigdy naprawdę nie pracował i zajmował się beztrudnymi rozrywkami o takim charakterze, że moje puste serce zabiłoby z radością, gdyby tylko Zander odznaczał się lepszym smakiem w wyborze ofiar.

Źródłem majątku Macauleyów były olbrzymie stada bydła, niekończące się plantacje cytrusów i zwałowanie odpadów fosforanowych w jeziorze Okeechobee. Zander często przyjeżdżał do ubogich dzielnic miasta, by hojnie wspomagać bezdomnych. Nielicznych, wybranych biedaków, którym naprawdę chciał ułatwić rozpoczęcie nowego życia, zabierał na swoje rodzinne ranczo, gdzie podejmowali pracę – dowiedziałem się tego z łzawego artykułu w gazecie opisującego z podziwem jego działalność charytatywną.

Oczywiście Dexter popiera dobroczynność. Jestem jej gorącym zwolennikiem, ponieważ prawie zawsze jest ona sygnałem ostrzegawczym, że pod maską Matki Teresy kryje się coś nikczemnego, złego i zabawnego. Nie wątpię, że gdzieś w głębi ludzkiego serca naprawdę żyje duch łagodnej, troskliwej dobroci opartej na miłości bliźniego. Jasne, że tak. Musi gdzieś tam być. Po prostu ja nigdy go nie widziałem. Ponieważ nie posiadam ani cech ludzkich, ani serca, jestem zmuszony polegać na osobistych doświadczeniach, z których wynika, że najchętniej okazujemy litość swoim bliskim i na tym się kończy.

Dlatego kiedy widzę bogatego, przystojnego i z wyglądu normalnego młodego człowieka, który wyrzuca garściami pieniądze, by pomóc uciemiężonym biedakom, trudno mi przyjąć jego altruizm za dobrą monetę, niezależnie od tego, jak pięknie to wygląda. W końcu ja również potrafię tworzyć własny obraz, z którego wynika, że jestem uroczy i niewinny. Wszyscy wiemy, jak bardzo jest on autentyczny, prawda?

Na szczęście dla spójności mojego światopoglądu Zander nie był inny niż wszyscy, tylko znacznie bogatszy. A odziedziczone pieniądze sprawiły, że stał się nieco niedbały.

Z drobiazgowych zeznań podatkowych, do których dotarłem, wynikało, że rodzinne ranczo jest niezamieszkałe i że nie jest tam prowadzona żadna działalność gospodarcza. Oznaczało to, że gdziekolwiek Zander zabiera swoich drogich brudnych przyjaciół, nie pracują oni na wsi, zdrowi i szczęśliwi.

Ponadto okazało się, że towarzyszą oni swojemu nowemu przyjacielowi Zanderowi na bosaka. W specjalnym pokoju w ślicznej rezydencji w Coral Gables, zabezpieczonym przed włamaniem przez kilka bardzo sprytnych, kosztownych zamków, których otwarcie zajęło mi prawie pięć minut, Zander przechowywał trochę pamiątek. Doskonale wiem, że narażanie się na takie ryzyko jest bardzo głupie, gdy się jest potworem, jednak ja również przechowuję pamiątki. Jeżeli któregoś dnia ciężko pracujący policjant prowadzący śledztwo natrafi na moją kasetkę, znajdzie tylko kolekcję szkiełek mikroskopowych z pojedynczymi kroplami krwi i nie będzie w stanie udowodnić, że mają one coś wspólnego z jakimikolwiek morderstwami.

Zander nie był taki sprytny. Zachował po jednym bucie każdej ze swoich ofiar i miał nadzieję, że bogactwo i zaryglowane drzwi zabezpieczą jego tajemnice.

Doprawdy niesłychane! Nic dziwnego, że potwory mają złą reputację. Cóż za niewyobrażalna naiwność – buty?! Buty, na wszystko, co mroczne?! Czy ktoś może na serio robić coś takiego? Staram się być tolerancyjny i rozumieć słabości bliźnich, lecz to już przesada! Czy przepocony, zablocony, dwudziestoletni trampek może mieć w sobie coś atrakcyjnego? Jak można zostawiać takie obuwie na widoku?! Czuję się prawie obrażony.